

Przygoda w górach.

Obudził mnie ostry blask słońca. Wygramoliłam się z łóżka i stanęłam przy otwartym oknie. Przede mną rozciągał się zapierający dech w piersiach widok na Giewont. Wschodzące słońce jak reflektor oświetlało stojący na szczycie krzyż.

Nagle obolałe nogi przypomniały mi o wczorajszej wyprawie na Granaty. Wróciliśmy już po zmroku, kompletnie skonane.

- Jaka pogoda? – zapytała Hania z zamkniętymi oczami.
- Ciepło, słonecznie – odpowiedziałam.
- Świetnie – wymruczała Hania i przewróciła się na drugi bok.
- Co robimy dzisiaj? – zapytałam.
- Śpimy cały dzień. Nawet nie chcę słyszeć o wspinaczce.
- Może pójdziemy na spacer. Tak tylko, żeby rozruszać mięśnie.

Wyciągnęłam mapę z plecaka.

- Zobacz, pójdziemy pod krokwią, ścieżką pod reglami, Doliną Małej Łąki, ścieżką nad reglami i z powrotem do Kuźnic. Nie powinno zająć nam to dłużej niż dwie – trzy godziny.

Przekonywanie Hani zajęło mi cały ranek. Wreszcie dała za wygraną.

Ponieważ planowaliśmy powrót na obiad, do plecaków zabrałyśmy tylko ciepłe swetry, dwa jabłka i cztery bułki. Był to pierwszy błąd jaki popełniłyśmy tego dnia.

Pierwszy postój zrobiliśmy w Dolinie Małej Łąki. Szybki spacer zaostrzył nam apetyt. Zjadłyśmy po jabłku i bułce i szybko ruszyłyśmy dalej. Pogoda była w dalszym ciągu piękna. Wrześnie słońce oblewało ciepłym światłem szczyty.

Ścieżka prowadziła środkiem doliny, która zwężała się gwałtownie. Regle były gdzieś wysoko.

Z niepokojem rozejrzałam się wokoło.

- Słuchaj – powiedziałam do Hani – jak my się dostaniemy nad regle? Chyba powinniśmy zawrócić. Wydaje mi się, że widziałam jakiś drogowskaz na początku doliny.
- Nie ma sensu wracać. Chodźmy dalej tą ścieżką. Przecież musi nas wyprowadzić z Doliny.

Niechętnie przystałam na ten plan. Czułam, że gubimy drogę. Popelniłyśmy drugi błąd.

Ścieżka powoli stawała się coraz węższa, coraz bardziej stroma, a powietrze ochładzało się bardzo szybko. Wyciągnęłyśmy z plecaków swetry. Żałowałam, że nie wzięłyśmy ze sobą kurtek. Byłam wściekła na siebie, że nie wzięłyśmy ani mapy ani latarek.

Pora obiadu dawno minęła, a my nawet nie wiedziałyśmy dokładnie gdzie jesteśmy. Szłyśmy coraz szybciej i coraz wyżej. Wokół było kompletnie pusto, ani żywej duszy, żeby zapytać o drogę.

Nagle w ostatnich promieniach zachodzącego słońca zobaczyłyśmy drogowskaz: granica państwa. Przed nami rozciągał się widok na Słowację. Na prawo rozciągały się Czerwone Wierch – szczyty ponad 2000m n.p.m.

- I co teraz mądralo? – zapytałam Hanię, która z niedowierzaniem wpatrywała się w drogowskaz.
- Idziemy dalej – zakomenderowała.
- Czyś ty oszalała? Po ciemku, bez mapy i latarek? Skręcimy kark.
- Będziemy szły powoli.

Musiałam do reszty zgłupieć, bo przystałam na ten szaleńczy plan.

Nie zaszłyśmy jednak daleko. Po dwudziestu minutach natrafiłyśmy na ostrą krawędź skalną. Po omacku starałam się wyczuć, czy nie stoimy na brzegu przepaści.

Położyłam się na kamieniach i ręką próbowałam wyczuć jak głęboki jest uskok. Droga na Czerwone Wierchy zawsze miała fatalną reputację z powodu niebezpiecznych urwisk skalnych i stromych zboczy. Wielu nierozważnych turystów przypłaciło brak respektu dla gór życiem. Nie miałam ochoty dołączyć do tego ponurego grona.

- Rzuć kamień w dół. Zobaczymy jak daleko spadnie – powiedziała Hania.

Znalazłam spory kawałek skały i rzuciłam w dół. Odpowiedziała mi cisza.

- Słuchaj, to naprawdę jest przepaść – głos Hani drżał; nie do końca wiedziałam czy z zimna, czy ze strachu. – Co teraz zrobimy?
- Nie ma rady. Musimy tu zanocować, a rano znajdziemy ścieżkę.

Było mi przeraźliwie zimno, byłam wściekle głodna i siedziałam nad brzegiem przepaści bojąc się nawet poruszyć. Nawet nie było mowy o tym, żeby zasnąć. Skulone doczekałyśmy świtu.

W pierwszych promieniach wschodzącego słońca, zmarznięta na kość, rozejrzałam się wokoło i o mało nie zemdlalam z wrażenia. Obie z Hanią siedziałyśmy na małym ustępie skalnym, a tuż pod nim, nie więcej niż półtora metra w dół, prowadziła ścieżka porośnięta trawą. Obok rozpościerała się łąka. Kiedy poprzedniej nocy rzuciłam kamień, trawa stłumiła odgłos. Przed nami ścieżka była szeroka, gładka i prosta jak drut.